

Recenzja filmu Andrzeja Muki „Człowiek na torze”

Pewnej nocy na torze kolejowym, zaraz przed nadjeżdżającym pociągiem pojawia się postać. Niestety parowóz nie zdążył się zatrzymać i "człowiek na torze" ginie na miejscu. Przypadek? Samobójstwo? Morderstwo? Na to pytanie spróbują odpowiedzieć pracownicy kolei, ponieważ domniemany samobójca to doświadczony, emerytowany maszynista, Władysław Orzechowski.

W filmie mamy do czynienia z narracją wieloosobową. Każdy człowiek będący niegdyś w otoczeniu - jak się okazuje - niezbyt lubianego, surowego i zrzędlivego Orzechowskiego, opowiada dyrektorowi kolei swoją wersję wydarzeń z ostatnich dni, a nawet lat. Wszak któryś z podwładnych mógł biedaka na tor wepchnąć w zemście, namówić do popełnienia samobójstwa i diabeł wie co jeszcze. Dodatkowym motorem napędowym do rozwikłania zagadki jest fakt, że tej nocy pociąg wykoleiłby się, gdyby ten "stary maruda" nie zatrzymał go swą piersią. Prawdopodobnie ktoś wyłączył jedno światło na stacji, które w założeniu miało odpowiednio przekierować pociąg. Pytanie, kto chciał go wykoleić?

Pomimo ponad sześćdziesięciu lat jakie ma ten film Andrzeja Munka ogląda się lekko i czujemy się głęboko zaangażowani w fabułę. Kryminalna otoczka jest kreślona iście po amerykańsku, do samego końca jesteśmy częstowani większą ilością pytań niż odpowiedzi. Kazimierz Opaliński w roli Orzechowskiego sprawdza się niesamowicie! Bez fałszywej nuty oddaje nasze wyobrażenie starego, nie dającego się lubić, zagorzałego fundamentalisty. Warto cofnąć się do czasów, kiedy zawód kolejarza był szanowany i kojarzył się ze sporą odpowiedzialnością, a intryga rozwikłana przez śledczych-amatorów może przynieść parę cennych myśli na temat ludzi ginących za sprawę.